ROZMAITOŚCI.

Dnia 25 lipca, **Ner 30.** **roku 1846.**

Książę de Conti.

(Dokończenie.)

Dnia następnego odpłynął książę z Dunkierki. U wstępu do morza niemieckiego zdybano kilka okrętów nieprzyjacielskich, lecz mimo szczeréj ochoty księcia, nie przyszło do walki, gdyż burza była temu na przeszkodzie.

»Jestem bardzo nieszczęśliwy,"— pisał książę do pani de Bourbon — »muszę się zrzéc ciebie, a nie mam nawet téj pociechy, abym mógł sobie z bronią w ręku moje królestwo zdobyć; wszystko przeciwko mnie się sprzysięgło."

W chwili gdy przyszły król Polski przez Zund płynął, król duński, który chciał być neutralnym, stanął wraz ze swoją małżonką w oknie zamku Kronenburg, aby go widzieć. Książę kazał dać salwę z armat, lubo królestwo duńscy nie zbyt uprzejmie z nim się obeszli; a wszyscy pochwalili mu ten grzeczny postępek.

Tymczasem elektor saski nie tracił czasu. Prymas Radziejowski pisał do niego, prosząc go, aby nie narażał wolności kraju na niebezpieczeństwa i oddalił się z Polski, ponieważ książę Conti podług wszelkich ustaw narodu obranym i obwołanym został. Zjazd szlachty w Warszawie kazał bacznie strzedz ciała zmarłego króla, aby go nie uwieziono do Krakowa, gdzie stosownie do zwyczajów krajowych koronacyja nowego króla i pogrzeb jego poprzednika zarazem się odbywały. Lecz elektor saski nie troszczył się oto bynajmniéj, i owszem przyjmował na zamku krakowskim życzenia swego stronnictwa, wyjął ze skarbcu królewskiego koronę i inne przybory królewskie, i kazał się w obec całéj stolicy koronować, poleciwszy wprzódy wystawić w kościele krakowskim pyszny katafalk, jakoby ciało zmarłego króla rzeczywiście na nim się znajdowało.

W takim stanie rzeczy przybył książę Conti do Gdańska. Mieszkańcy byli mu przeciwni, i nie chcieli nawet żywności mu dostarczyć. Po kilkudziennem oczekiwaniu przybyło wreszcie poselstwo od rzeczypospolitej, mające go powitać. Książę pałał żądzą stoczenia boju. Chciał on wysiąść na ląd i krok za krokiem całe królestwo sobie wywalczyć, lecz na nieszczęście — nie było wojska. *Abbé* Polignac, który przy wszelkich swoich staraniach jedynie dopięcie kapelusza kardynalskiego miał na celu, poczynił był takie przyrzeczenia, iż do ich wypełnienia zaledwie 10 milijonów byłoby wystarczyło. Wszyscy, którzy jego stronę trzymali, przekonawszy się, iż książę Conti nie jest tak potężnym, jak go im wystawiano, odwrócili się od niego. Sam tylko prymas dochował mu wierności, lecz przy wszelkich swoich dobrych chęciach, nie był on w stanie przeszkodzić, aby większa część jego stronnictwa do elektora nie przeszła. Odtąd sprawa księcia niewątpliwie upadła. I gdyby nawet ktoś miał był więcéj od niego ochoty do utrzymania się przy koronie, wspomnione tu okoliczności byłyby go do powrotu skłoniły. Po niedługim czasie wyprawił książę Conti fregatę do Francyi, i przesłał nią następujące dwa listy:

„Sire!

Odgrywam tu rolę, niegodną potomka królewskiego domu Francyi. Przybyłem do Polski w chęci utwierdzenia padłego na mnie wyboru dzielnością mego oręża, lecz niestety, nie wojenne niebezpieczeństwa stanęły mi na przeszkodzie, ale jedynie brak pieniędzy. Stronnictwo moje, spodziewawszy się po mnie ogromnych skarbów, a zawiedzione w téj nadziei, odstręczyło się całkiem ode mnie. Racz więc wasza król. mość pozwolić, abym zrzekł się moich praw do korony, i powrócił do Francyi. Wolę zostać czém byłem, niż upierać się przy zachowaniu stopnia, który mi żadnéj sławy nie przyrzeka, ani nawet możności walczenia z nieprzyjacielem, nie podaje."

Drugi list opiewał jak następuje:

»Kochanie moje!

Wracam do ciebie, nie jak się spodziewałem, ze sławą, lecz owszem, upokorzony. Nie przyjąłem żadnych ofiar pieniężnych, jakie mi z różnych stron dla utrzymania się w Polsce czyniono; nie chciałem sam okupywać nieszczęścia życia mojego, mając dość na tém, żem mu się o tyle poddał, o ile to koniecznie uczynić należało. Nie jestem w stanie wyrazić

pani rozkoszy, jaka serce moje przepełnia: obaczę cię niezadługo! Wszyscy ubolewają nade mną, wszyscy każą mi nawet być smutnym, a ja nadmiar szczęśliwy jestem! Ztémwszystkiém, okoliczności i ubóstwo moje pozbawiają mię pięknego tryjumfu. Czemużto, czemu nie znalazłem tu wojska! Czemuż nie mogłem z orężem w ręku wywalczyć sobie na polu sławy koronę, aby ją u stóp twych pani złożyć, i przezto samo stać się ciebie godniejszym niż wprzódy! Zamiast tego, obaczysz mię pani wygnańcem, monarchą bez państwa. Ha, stało się! Obaczę się z panią pierwéj niż z kimkolwiek innym; uwiadomię panią natychmiast o mojém przybyciu. Znalazłszy u pani nagrodę za wszystkie doznane tu nieprzyjemności, będę jeszcze miał dość czasu do odgrywania roli nieszczęśliwego króla. Niech to pani nie lęka; przystąpię jaknajostrożniéj do dzieła; jestem zanadto szczęśliwym, abym się chciał narażać powtórnie na utratę szczęścia, które dopiéroco odzyskałem.»

Gdy te listy do Paryża przybyły, oddano jeden potajemnie księżnéj de Bourbon, a drugi został doręczony królowi przez pana de Torcy u pani de Maintenon. Ludwik XIV, którego największą zaletą było, iż umiał cenić ludzi podług ich rzetelnéj wartości, odczytawszy list otrzymany, nie był w stanie powściągnąć się od wyrzeczenia:

„Jestto szlachetny i spaniały sposób myślenia, i prawdziwie szkoda jest, nie miéć szczęścia przy tak wzniosłych uczuciach.»

„Ale szkoda też równie, pozwól wasza król. mość sobie powiedziéć,»— ozwała się pani de Maintenon— „iż tak szlachetne uczucia, tak nagannym zamiarom za pozór służą.»

Król zmarszczył brwi.

„Być może, iż pani się mylisz; nikt mi jeszcze nic podobnego nie doniósł.»

Przez całą wieczerzę był król ponurym. Nie mówił ani słowa, a chociaż jak wiadomo, bardzo w jadle smakował, przecież żadnéj z tak kosztownie przyprawionych potraw nie tknął. Gdy książęta i księżniczki w jego pokoju się zeszły, oczy króla utkwiły natychmiast w pani de Bourbon, któréj nadobne lica zadowoleniem szczęścia jaśniały. Podobnież i jéj różowa toaleta wyglądała pogodnie jak ona sama. Ojciec jéj spoglądał długo na nią z uwagą, lecz po niejakim czasie rysy twarzy jego przybrały nieco łagodniejszego wyrazu. Być może, iż przyszły mu także w pamięć owe czasy, kiedy miłość głównem zajęciem jego była. Może przypomniał sobie swoje uczucia dla pani de Lavallière, pokutującéj teraz w klasztorze Karmelitanek; a te wspomnienia obudziły w nim zapewne uczucie pobłażania słabości serc innych. Wszelako wpatrywał się ciągle w piękną i szczęśliwą twarz swojéj córki, i rzekł nareszcie:

„Dziś pani bardzo ładną jesteś, i bardzo uradowaną jak się zdaje.»

„Jestem *sire...*» odpowiedziała pani de Bourbon nieco zmieszana. „Czyżeś mi wasza król. mość dziś rano nie pozwolił bawić długo ze sobą? To szczęście na cały dzień mię rozwesela.»

„Wyprawiłem właśnie Torcy'ego do księcia i księżny Conti, którym smutną wiadomość donieść musiałem. Książę Conti zrzekł się polskiéj korony i wkrótce do Francyi powróci; zachowanie się jego było bardzo zaszczytne.

Wszystkich oczy zwróciły się na księżnę, która jednakże najmniejszym znakiem swego wewnętrznego wzruszenia nie okazała.

„Wie ona już o tém;» pomyślał sobie król.

„Już go więcéj nie kocha;» szepnęła księżna de Chartres do owdowiałéj księżnéj de Conti.

»Mamy więc króla bez korony;» — ozwała się księżna de Bourbon obojętnie — »cóż wasza król. mość teraz z niego zrobić zamyślasz?»

„Zostanie tém, czém był wprzódy, ponieważ miał dość rozumu nie przyjmować żadnéj powierzchownéj świetności swego dostojeństwa, którąby późniéj złożyć musiał. — Księżniczka Burgundzka jest bardzo blizka zamężcia;» rzekł król, chcąc zmienić tok rozmowy.

„Portret jéj znajduje się, *sire*, po wszystkich stronach Paryża;»— ozwała się owdowiała księżna Conti — „obywatele z Delfinatu przywieźli go dziś do Meudon.»

„Jestto znak dobry;» — rzekł król — „będzie kochaną od ludu; nie prawdaż księżno?»

Wszyscy skłonili się.

»Będziemy mieli świetne uroczystości. Książę Conti już zapewne do tego czasu powróci, i będzie im obecnym;» przemówiła pani de Maintenon.

„Nie wiem;» rzekł król.

Poczém księżniczki głębokim ukłonem króla pożegnały, i cała rodzina królewska się rozeszła. W tejże chwili wypadł księżnéj de Bourbon list z kieszeni, czego ona nie postrzegła. Książę de Maine podniósł go i chciał oddać właścicielce, lecz obaczywszy napis, cofnął rękę i schował list starannie w zanadrze. Nikt tego nie uważał, prócz margrabiny de Maintenon.

W czternaście dni późniéj była księżna de Bourbon sama w swojéj komnacie w Wersalu. Jéj małżonek zabawiał się polowaniem w Chantilly. Księżna kazała się oznajmić chorą, aby wszelkich odwidzin uniknęła. Jéj wzruszenie i tęskna niecierpliwość dochodziły najwyższego stopnia; dziesięć razy w minucie wstawała i znowu siadała, przysłuchywała się każdemu szelestowi; widać było, iż na kogoś czekała. O, jakże słodkiem, oraz okrutném jest oczekiwanie osoby, którą się kocha! Jakież wtedy nie budzą się życzenia i rozkoszne na-

dzieje! Po tysiąckrotnie uczuwa się już naprzód słodycz chwili nowego powitania się!

Nareszcie dał się dosłyszeć odgłos półcichych kroków i kilku słów, poszepniętych między osobą przybywającą a człowiekiem stojącym u wnijścia na straży. Serce księżnéj biło tak gwałtownie, iż nie była w stanie rozeznać, co się wokoło niej dzieje. Nareszcie drzwi się otworzyły, a do jej nóg rzucił się mężczyzna w stroju kuryjerskim, wymawiając kilka ledwie dosłyszalnych wyrazów, — byłto książę de Conti!

Nie chcemy tu kreślić obrazu téj szczęśliwéj chwili; podobne opisy nigdy rzeczywistości nie dorównają.

„A więc jesteś mi tu znowu, mój piękny monarcho!» ozwała się księżna.

»Tak, jestem tu znowu, i spodziewam się, iż mnie nikt więcéj do podobnych przygód nie namówi. Przyjm pani ode mnie przysięgę, iż nigdy dla usłużenia królowi nie opuszczę cię, i pozwól tu u stóp twoich złożyć resztki korony.»

To mówiąc dobył szpady, złamał ją na dwoje, i rzucił złamane części na kobierzec.

„O dzięki ci!» zawołała księżna. »Więc jestto prawda, iż się nigdy już nie rozstaniemy?»

„Tylko w godzinę śmierci!»

„Ach, i to za wiele!»

„I byłaż dla pani długą niebytność moja? Myślałażeś pani czasami o mnie?»

„Jakże mogłabym była nie myślić? Sami twoi nieprzyjaciele starali się przypominać mi ciebie nieustannie. Wszyscy tylko o tobie ze mną mówili.»

„A ja, pani, miałem tylko to jedno życzenie: widzieć cię znowu jaknajprędzéj. I więcéj miałem trudności do skruszenia tego poniewolnego berła, niżbym ich był miał, gdybym je chciał był osiągnąć.»

»Jakże dumną jestem tą miłością, która sprawiła, iż mogłeś wyrzec się tronu! Jakże dumną jestem kochankiem, który był tak szlachetnym i spaniałomyślnym, iż klęskę upokorzenia za chwałę sobie poczytał! Ale mamże w tak pięknéj chwili prawdę wyznać? Lękam się o miłość naszę. Bilet, w którym swój powrót mi oznajmiasz, stracił mi się, sama nie wiem jakim przypadkiem; nadaremnie chciałam wykryć tę tajemnicę. Znajdujeż on się w ręku mojego męża, albotéż króla, któremu go jaki tajemny nieprzyjaciel może doręczył. Nie wiém tego, i żadnych domniemywań czynić nie śmiém. Dziś w wieczór długo się namyślałam, czy mam cię przyjąć w tém przebraniu; nareszcie upragnienie przemogło obawę; zapomniałam o wszelkich niebezpieczeństwach. Ale któż wié, czy to nie po raz ostatni tak razem z sobą jesteśmy? Kto wié, czy jeszcze kiedy będziemy mogli zejść się podobnie? Uważają nas zewsząd, strzegą zawistném okiem. O, Ludwiku, cemużto losy nam się połączyć nie dozwoliły! Natchniony moją miłością, jakże wielkich i głośnych byłbyś dopełniał czynów! Niestety, jesteśmy bardzo nieszczęśliwi, mój przyjacielu, i nie wiém, co nam przyszłość przyniesie! Przysięgnij mi przynajmniéj, iż mię wiecznie kochać będziesz.»

»Tak, jak cię teraz kocham, będę cię wiecznie kochał, Ludwiko! Tobie więcéj zawdzięczam, niż przeczuwać możesz, bez ciebie byłbym upadł na umyśle, stracił moję zwykłą odwagę. Ale co mi o tym straconym liście wspominasz, mocno mie niepokoi. Byćto bardzo może, iż ktoś tu kroki moje śledził. Znam ja twego męża; nie będzie on mścił się jawnie, bo lęka się w tobie córki królewskiéj, a we mnie rywala szczęścia swego, ale jeźli będzie miał sposobność zgubić nas, uczynić tego nie zaniedba! Co do mnie, mało dbam oto, ależ ty, ty!»

Tu ozwał się niezwykły szelest w przedpokoju, a księżna jak trup pobladła.

„To pewnie on!» zawołała pani de Bourbon, stawając przed książęciem, jakgdyby go chciała zasłonić. „Przychodzi może, aby nas zamordować! O, mój Boże, cożem uczyniła!»

„Nie lękaj się pani niczego! Uspokój się! Jakkolwiek wielkie jest niebezpieczeństwo, nie daj się zatrwożyć; najlepszym środkiem obrony jest oziębłość, któréj nic wzruszyć nie zdoła. A zresztą, ja tu jestem; czegożbyś pani miała się obawiać?»

Szmer w przedpokoju zbliżał się coraz bardziéj, a nagle rozwarły się podwoje.

* * *

Oznajmiono króla. Przez jakiś czas król zatrzymał się u drzwi, naprzeciw obojga zmieszanych kochanków, spoglądając z zadziwieniem na złamaną szpadę i pobladłe oblicze swojéj córki. Co się tyczé księcia Conti, ten stanął z uszanowaniem opodal, lecz nie spuścił oczu ku ziemi.

„Cóżto jest, pani? Co znaczy to zmieszanie, jakie na jéj twarzy postrzegam? Zkądże ta szpada złamana, i czemu książę Conti u pani się znajduje?»

Księżna nie odpowiedziała.

„Przecież pani kilka słów na swoje wytłumaczenie się powiész; bo jeźli dłużéj tak milczéć będziesz, powezmę to mniemanie, iż jesteś bardzo winną.»

»Jeźli wasza król. mość pozwoli, ja to wytłumaczę, i....»

»Przedewszystkiém, mój panie, w jakimżeto stroju pana tu widzę? I dlaczegoż nie przyszedłeś zaraz po swojém przybyciu do mnie, złożyć mi należne uszanowanie? Jesteś tutaj, a ja nie wiém o tém? i zdybuję cię tu u księżnéj? nawet nimeś jeszcze swoję małżonkę odwidził? — Przybrałeś, książę, dziwne zwyczaje w Polsce.»

„Pytasz *sire*, co tu czynię; żądasz, abym otwarcie z tobą mówił. Dobrze więc, będę mówił otwar-

cie! Być może, iż mam prawo do tego; byłem ci bowiem prawie równym; ode mnie tylko zależało zostać królem i doznawać odpowiedniego uszanowania. Jestem twoim podwładnym, twoim krewnym, i czyniłem dotąd wszystko, co było w mojéj mocy, aby odpowiedzieć obowiązkom, jakie ta podwójna zawisłość na mnie wkładała. Lecz wasza król. mość oddalałeś mię zawsze od swojéj osoby, jakgdybym był zbyt śmiałym natrętem. Przypomnij sobie *sire,* iż nigdy o żadną łaskę nie prosiłem. Chciałem tylko sprawiedliwości, chciałem tylko twojego uznania, a jeżli mi wolno jest to szczérze powiedzieć, twojéj przychylności. Powołano mię na tron, ja się go zrzekłem; wasza król. mość rozkazałeś mi surowo przyjąć go, byłem posłuszny. Udałem się jak błędny rycérz w drogę po tę koronę, którą mi przeznaczyłeś. Zamiast nieprzyjaciół znalazłem tam zmiennych stronników, zamiast walki, musiałem wchodzić w układy. Wtedyto przekonałem się *sire,* iż jestem niezdatnym do noszenia purpury. Moje lepsze uczucie samego siebie, wezwało mię do powrotu; odrzuciłem wszelkie namysły i jestem tu znowu w mojéj ojczyźnie, wprawdzie już nie jako król, lecz zawsze jeszcze jako wolny książę ze krwi królewskiéj, i mam nadzieję, że wkrótce nowémi czynami pozyskam zaufanie narodu. Doprowadzę do tego, iż kraj, który mię królem obrał a potém od siebie odepchnął, znowu ze wstydem powrotu mego pożąda.»

Król słuchał tych słów z uwagą, bez najmniejszéj oznaki niechęci, a nagle obróciwszy się do swojéj córki, rzekł:

»Opuść nas pani.»

Księżna ukłoniła się smutno i odeszła natychmiast.

»Wysłuchałem pana cierpliwie,» — ozwał się król — »i przynajmniéj tego zarzucić mi nie możesz, iż się dla ciebie niesprawiedliwym okazałem. Teraz odpowiedzieć ci, na mnie kolej. Jesteś żonatym, masz dzieci, winieneś im dać przykład dobry, a tymczasem rzucasz swojém zachowaniem się niesławę na cały dwór królewski. Wszyscy wiedzą o twojéj namiętności dla księżnéj de Bourbon, a ta namiętność jest występkiem, gdy oboje już wolni nie jesteście. Żona twoja martwi się tém bez ustanku, a książę de Bonrbon pała gniewem zemsty. Byłem rad twojemu wyjazdowi, ponieważ uważałem go za najlepszy dla ciebie sposób usunięcia się od dworu. Sądziłem iż pokój mojéj rodziny jest już przywróconym, a ty zaburzać go znowu przychodzisz. Zabraniam ci odtąd innym sposobem widywać się z księżną jak tylko na publicznych zgromadzeniach. Zabraniam ci to, jako król i ojciec. A gdybyś chciał się sprzeciwiać temu zakazowi, mogłoby ztąd tak wielkie nieszczęście wyniknąć, iż przed Bogiem i ludźmi, musiałbyś ciężką zdać sprawę. Nie odpowiadaj mi ani słowa. Nie słucham cię wcale. Powróć do Paryża i bądź jutro u dworu. Sądzę iż dostateczne środki ostrożności są przedsięwzięte, aby ten krok dzisiejszy, tajemnicą pozostał. Przez ciebie samego powziąłem o nim wiadomość. List, któryś pisał do księżnéj, wpadł w niewłaściwe ręce, a pewien przyjaciel, pojmujący całą wagę podobnéj tajemnicy, wręczył mi go, abym téj całéj sprawie w cichości koniec położył. Teraz odejdź książę, i staraj się swojém postępowaniem zatrzéć pamięć przeszłości.»

Dnia następnego przyjmował Ludwik XIV księcia Conti na publicznéj audyjencyi. Wynurzył mu żal swój z powodu niepomyślnego skutku jego podróży do Polski, i rzekł, iż mimo wszelką przyjaźń dla niego, nie życzył sobie widzieć go więcéj w Paryżu. Powszechnie jednak dziwiono się posępności księcia de Conti. Widziano, iż nie pragnął niczego bardziéj, jak powrotu do Francyi; on sam nie ukrywał tego bynajmniéj, a przecież charakter jego przybrał jakąś barwę ironii, któréj nie można było zrozumieć. Ztémwszystkiém było tylko jedno zdanie o nim; wszyscy ubiegali się okazać mu głośne uwielbienie; lecz on przyjmował to wszystko uprzejmie, ale obojętnie.

W kilka dni późniéj odbyły się uroczystości zaślubin księcia de Bourgogne, wnuka Ludwika XIVgo z księżną sabaudzką. Około tego czasu grał książę Conti w karty z nadprzeorem kościoła Vendôme, wnukiem Henryka IVgo i Gabryjeli d'Estrées, i znacznie przegrał. Zdawało się, jakby się książę był uwziął drażnić przeora i wystawiać go na śmiészność, a przypatrzywszy się uważniéj obudwom grającym, można było nawet sądzić, iż jakaś ukryta nienawiść dogodnéj tylko chwili spłonu utajonéj zemsty oczekuje; przeciwne zaś księciu szczęście w grze, zdawało się być więcéj skutkiem niż przyczyną jego niechęci.

Wtém zaszło jakieś w grze nieporozumienie, i zaczęto z coraz większym uporem się sprzéczać. Przeciwnik księcia unosił się nieumiarkowanym gniewem, przymawiano sobie wzajemnie, nareszcie nadprzeor uniósł się tak bardzo gniewem, iż rzucił karty o stół i zawoławszy: „Książę Conti znieważa mię!” zażądał zadośćuczynienia bronią.

„Jestto właściwie niegodną mnie rzeczą, mój panie, stawać przeciwko tobie,” — odpowiedział książę — „lecz nigdy jeszcze nie unikałem podobnego wyzwania.”

Książę Bourbon, który był obecnym temu sporowi, chociaż poglądał z ukosa na swego rywala i z radością tygrysa byłby się dziko rzucił na upatrzoną zdobycz, przecież ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych, wystąpił jako pośrednik pomiędzy obudwoma przeciwnikami, i rzekł spokojnie

„Zważcie panowie gdzie jesteście; to może wam bastylą albo czémś jeszcze gorszém zagrozić.”

„Przecież pan to przynajmniéj przyznać mi zechcesz,” — ozwał się książę Conti — „iż ten człowiek nie jest mi równym, i że jeżeli mu uczynię ten zaszczyt zmierzenia się z nim bronią, tedy stanie się to jedynie z łaski.”

„A więc masz pan, jak się zdaje, wielką ochotę do pojedynku;” — rzekł książę Bourbon zcicha do swego szwagra — „cóżbyś wtenczas powiedział, gdybym panu wymienił przeciwnika, któregobyś mógł przyjąć bez wstydu stawienia się z nim na równi.”

„Powiedziałbym, iżby to był najszczęśliwszy dzień mego życia; powiedziałbym, iż wolę bić się z nim, niż z człowiekiem, który tylko za podłe narzędzie innym służył. Rozumiesz mię, mości książę; poznajesz, iż wiém, w czyich ów list rękach się znajduje, i kto cię o nim uwiadomił; i toż właśnie było powodem mego zachowania się dziś w wieczór.”

„Do jutra więc, mości książę; udamy się z dwóch przeciwnych strón poza mur parku, nie biorąc nikogo z sobą prócz jednego ze służących. Obaczymy za kim będzie słuszna sprawa i pomoc bozka.”

Uścisnęli sobie ręce w milczeniu i rozeszli się. Mimo to jednak rozgłosiła się rzecz cała. Aresztowano natychmiast nadprzeora i osadzono go w Bastyli. Książęta krwi królewskiéj, równie książę Bourbon, jakoteż inni, byli bardzo urażeni zuchwałością jego. Król zażądał, aby więzień przeprosił księcia Conti, i mimo długiego ociągania się, musiał on się zniżyć do tego kroku.

Książę Conti przyszedł był właśnie do domu, aby uczynić przygotowania do jutrzejszego pojedynku, gdy jedna z dam pokojowych oznajmiła mu, iż jego najstarszy syn, hrabia de la Roche-sur-Yonne, mający dopiéro lat cztéry, jest blizkim śmierci. Nagłe konwulsyje męczyły to biédne dziécię, a lekarz Fagon oświadczył, iż niéma żadnéj nadziei. Książę Conti, który kochał serdecznie dzieci swoje, pospieszył coprędzéj do chorego synka.

Zastał go w stanie zapowiadającym już blizki koniec jego krótkiéj choroby. Nieszczęśliwa matka płakała rzewnie u łoża. Obaczywszy swego małżonka, spojrzała nań tak przenikliwie, iż pojął jéj boleść i podzielił z nią serdecznie to nieszczęście. Dziécię nie poznawało już nikogo. Jego cięźki oddech, konwulsyjne kurczenie mdłych członków, miały w sobie coś okropnego.

„Mój Boże! Mój Boże! Zachowaj nasze dziécię!” zawołał książę, klękając koło kołyski. Bez wątpienia przyszła mu w pamięć jakaś myśl trapiąca, gdyż natychmiast, powstawszy, mocno się zczerwienił, i kazał się sam na sam z żoną zostawić.

„Pani,” — ozwał się do księżnéj — „grom, który w nas tu uderza, jest niewątpliwie karą nieba za moją lekkomyślność; aby mię opamiętać, karze mię w tém, co mi jest najdroższém na ziemi. U tego śmiertelnego łoża proszę panią o zapomnienie tych wszystkich zgryzot, jakie pani sprawiłem, i przyrzekam pani na świętość honoru, iż odtąd żadnego więcéj do nich powodu nie dam. Jakiekolwiek skutki ta ofiara za sobą pociągnąć może, czynię ją pani tu w obec Boga, aby ci powrócił tę małą, niewinną istotę! Jakże, czy wierzysz słowu memu i czy mi przebaczasz?”

„O, panie mój!” zawołała księżna ze łzami. „Dzięki ci! Jesteś zacnym mężem! Nie mów mi nic o przebaczeniu. Terazniejszy postępek twój rzucił w niepamięć wszystko, co się stało, a o czém ja nigdy wiedzieć nie chciałam. Bóg wysłucha zapewne życzenia twoje i wróci nam dziécię nasze. Módlmy się razem, mój przyjacielu; przyszedłeś tu płakać wraz ze mną, a twoja obecność sprawi mi pociechę i radość; pójdź, módl się ze mną.”

Rzucili się wraz na kolana przed kolébką i oddali się modlitwie. Jest bez wątpienia anioł między niebem a ziemią, który takie modły przed tron Przedwiecznego zanosi. Ale Bóg nie zawsze ich wysłuchywa; wié on, kiedy musi karać, a wtedy jego miłosierdzie nie staje na przeszkodzie sprawiedliwości jego.

Hrabia de la Roche-sur-Yonne umarł.

Księżna Conti padła półmartwa w objęcie swego małżonka, który ją serdecznie do piersi przycisnął. Mimo swoje płoche wykroczenia, zachował on wielkie poważanie i szczérą miłość dla swojéj cnotliwéj żony. W téj chwili wewnętrznego skruszenia, stanęło mu na myśli, iż zatruwszy życie tak szlachetnéj kobiécie, zwoławszy gniew niebios na jéj głowę, ma jéj nazajutrz jeszcze brata lub małżonka wydrzéć. Omało mu serce z żalu nie pękło; pojął, iż musi zrzec się tak miłości jak i nienawiści, pojął, że musi odtąd niemieć żadnego innego w sercu uczucia i życzenia, jak tylko życzenie uszczęśliwienia żony; na tę myśl i to uczucie, skłonił głowę w boleści, i zrzekł się wszystkiego innego.

Poczém obrócił się do księżnéj i rzekł: „W skutek sprzeczki przy grze, umówiłem pojedynek z księciem de Bourbon. Zaniecham téj nierozsądnéj rozprawy; napiszę do niego; a donosząc mu naszę bolesną stratę, mam prawo wymówienia się od danego słowa. Wierzaj mi pani, taki uczynek godzien jest wielkiéj wynagrody, gdyż ciężko to przychodzi upokorzyć się w takim razie. Bądź pani spokojną; nic odtąd nie zamąci naszego pożycia. To nieszczęście, które tu mamy przed oczyma, jest najsroższą nauką, jaką mi niebo zesłać mogło.”

Książę dotrzymał słowa. Nie widywał odtąd księżnéj de Bourbon, tylko na publicznych zgromadzeniach. Długo jednak nie mogli oni przechodzić koło siebie bez bolesnego wzruszenia. Przy każdém spotkaniu, wlepiały się ich oczy w owe żałobne pierścienie, które podług danéj sobie wzajem przysięgi,

na zawsze na ich ręku pozostać miały. Spojrzenia te wyrażały zbyt wiele i mówiły boleśnie o przeszłości pełnéj tkliwych pamiątek, o przyszłości pełnéj żałoby i ciężkiego smutku. Sama łagodna, pełna błogich uczuć księżna Conti, która niespokojnym wzrokiem każdego kroku swego męża strzegła, nie mogła się wstrzymać od ubolewania nad niémi.

Tak upłynęło lat dziesięć. Stanowisko księcia nie zmieniało się w niczém. Król obchodził się z nim zawsze jaknajoziębléj. Nie uwzględniał go żadną łaską, a wreszcie już się też książę żadnéj nie spodziéwał. Nakoniec przecież, w r. 1709, otrzymał on dowództwo nad wojskiem w Lombardyi. Gdy się na tę wyprawę wybiérał, opadła go nagle zaraźliwa szkarlatyna — i w kilku dniach, życia go pozbawiła. Dniem przed śmiercią zapytał on swojéj małżonki, czy dotrzymał uczynionego jéj przyrzeczenia, i czy mu nie ma nic do wyrzucenia. Biédna księżna zalała się łzami.

„Więc proszę panią jeszcze" — rzekł chory — „o jeden dowód przyjaźni, a sądzę, iż mi odmówić go nie zechcesz. Oto jest list z pierścieniem, który pani wiadoméj damie doręczyć raczysz. Idąc przez ręce pani, stanie się ta pamiątka jeszcze czystszą, a Bóg przebaczy mi, iż nie mogłem umrzéć, nie myśląc o niéj."

List ten zawiérał słowa nastepujące:

»Byłaś pani dla mnie umarłą, ja umarłym dla pani; teraz idę oczekiwać cię w świecie innym. Odtąd zamiast jednego pierścienia będziesz dwa nosiła. Módl się pani za mnie i nie zapomnij o mnie! Oby wszystko błogosławieństwo umiérającego spłynęło na głowę twoję!"

Walka z orłem.

Następne opowiadanie wyjęte jest z dzieła „Sceny znad wybrzeży morza śródziemnego." Głównym zarobkiem tamecznych ptaszników jest wybiéranie gniazd z młodémi ptakami, do których myśliwi z niebezpieczeństwem życia na trzymanym przez kilku towarzyszy powrozie, ze szczytu skały się spuszczają. W ciągu takiéjto przeprawy, biją zwykle orły na swego nieprzyjaciela, wymierzając dzioby i szpony szczególnie w jego oczy. Dla ochronienia się od téj strasznéj napaści, mają zwykle ptasznicy długie, ostre noże przy sobie, lecz i to niezawsze ich zabezpiecza. Przed pięcią lub sześcią laty, odbyła się między dużym orłem morskim a pewnym łowcą podobnaż sroga walka, która omało tegoż śmiercią się nie zakończyła. Zaledwie go bowiem z wysokiego szczytu skały na powrozie w przepaścistą głębię spnszczono, już z poblizkiéj rozpadliny wyleciał ogromny orzeł i zaczął nań wściekle naciérać. Łowiec dobył spieszno noża i bronił się odważnie, lecz skrzydlaty nieprzyjaciel umiał zwinnie uniknąć ciosu. Nareszcie długą walką i powtarzanemi zamachami rozjuszony, zebrał wszystkie siły, i uderzył po raz ostatni na myśliwego. Ten widząc grożące niebezpieczeństwo, podniósł nóż czémprędzéj i z całéj mocy ugodził nim w orła. To skutkowało; orzeł runął w przepaść, lecz tenże sam cios, który myśliwego od przeciwnika wybawił, przeciął zarazem powróz, na którym go spuszczono, a przeciął go tak dalece, iż nieszczęśliwy myśliwiec na kilku tylko niedociętych jeszcze skrętkach nad bezdenną przepaścią wisiał. W tym okropnym przypadku nie pozostało mu nic innego jak tylko dać znak swoim towarzyszom na górze. Na szczęście postrzegli oni dość wyraźnie w jak wielkiém niebezpieczeństwie ich kolega zostawał, i zaczęli z największą ostrożnością powróz w górę ciągnąć. Sam powróz był tak cienki, iż prawie niepodobieństwem się zdało, aby jego cześć nieprzecięta tak długo dotrzymać mogła, iżby nieszczęśliwego łowcę na wiérzch wyciągnięto. Ze drzeniem i śmiertelną trwogą czuł on, że ta cienka spojnia— która go jeszcze z życiem łączyła i od ziejącéj pod nim czarnéj przepaści ochraniała — z każdą chwilą coraz bardziéj się rozprężała i pod ciężarem cieńczyła. Potrzeba téż było ze strony towarzyszów na górze nadzwyczajnéj przezorności i wprawy, aby nie dopuścić, iżby się nadcięta część powrozu o krawędzie ostro wystérczających skał ociérała. Będąc w ciągłéj trwodze na widok coraz bardziéj wzmagającego się cieńczenia i osłabiania się powrozu, oraz czując niezbędną konieczność bardzo powolnego ciągnienia, aby lada nieostrożne szarpnięcie nie rozerwało do reszty nadwątlonego powrozu i nie pogrążyło nieszczęśliwego towarzysza w bezdenną otchłań— zostawali owi na górze w niemniéj okropnym stanie przestrachu i trwogi, jak ich wiszący nad przepaścią towarzysz. Na ostatek gdy tenże już ku saméj krawędzi skały się zbliżył, podwoili towarzysze jego sił i ostrożności, témbardziéj, że z każdą chwilą dawały się widzieć coraz niewątpliwsze znaki blizkiego rozerwania się powrozu. Jakoż w odległości kilku calów od wierzchołku skały pękł powróz, a nieszczęśliwy myśliwiec wskrzyknął okropnie z przestrachu, lecz koledzy jego już go byli za suknią uchwycili, i na skałę wyciągnęli. Widząc go już w bezpieczeństwie, wszyscy obecni, pomiędzy którymi dotąd śmiertelne milczenie panowało, wydali głośny okrzyk radości, lecz ocalony wcale go nie słyszał. Okropne bowiem niebezpieczeństwo, w którém tak długo zostawał, było nad siły jego. Leżał bez zmysłów i bez wszelkiego czucia na murawie. Już go towarzysze jego za nieżywego mieli. Po kilkugodzinném omdleniu, przyszedł on wprawdzie znowu do siebie; ale do zupełnego zdrowia nie mógł on już przez całe życie swoje powrócić.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 29ty i zawiera: 1) Co kosztuje obornik? 2) Najnowsze doświadczenia w hodowaniu zwierząt domowych. (Ciąg dalszy.) 3) O czyszczeniu lnu z klejowatego pierwiastku. 4) Jak przesadzać młode i stare drzewa. 5) Kołowacizna owiec uleczoną być może. 5) Wiadomości handlowe.

Najnowsze zdanie o księżycu. Olbrzymi teleskop, który lord Rosse w swoim zamku w Szkocyi ku publicznemu użytkowi wystawił, nastręcza astronomom sposobność do sprostowania wszelkich dotychczasowych mylnych wyobrażeń o ciałach niebieskich. Podczas gdy np. świat uczony był dotąd tego zdania, iż księżyc jest zamieszkanym, ogłasza teraz lord Rosse w londyńskiém czasopiśmie »*Observer*« następującą wiadomość: »Za pomocą mego teleskopu mogę na księżycu widzieć wyraźnie wszystkie przedmioty, mające 100, a niekiedy nawet tylko 60 stóp wysokości. Na całéj powierzchni księżyca widać same otwory wypalonych wulkanów, i skały z niezliczonych brył kamiennych złożone. Zwyczajny budynek musiałby przez mój teleskop dokładnie być widzianym. Tymczasem nie masz ani śladu mieszkań, podobnych naszym, ani znaku ruin dawnych budynków, z którychby wnosić można, iż księżyc kiedyś przez jakiekolwiek wyższym umysłem obdarzone stworzenia był zamieszkanym. Jakoż nie dostrzeże tam nigdzie pól zielonych lub podobnéj jak na ziemi bujnéj roślinności; nigdzie też ani znaku wody, nigdzie ani jeziora, ani rzéki, ani stawu: wszystko zdaje się być jak wymarłe.«

Nowy rodzaj gazu. Niejaki pan Reindorf w Rendsburg odkrył, iż fusy z kawy, które zwykle bezużytecznie odrzucane bywają, z nieznacznym dodatkiem niektórych cząstek chemicznych, wyborny gaz do oświetlania wydać mogą. Ani Wolter ani Grove, ci dwaj sławni wielbiciele kawy, nie domyślali się tego pożytecznego jéj przymiotu. Wiedzieliśmy dotąd o tym arabskim odwarze jedynie tyle, iż on jest ulubionym napojem dam wszelkiego wieku, i że w tym napoju już niejedno dobre imię i sława niejednéj uczciwéj rodziny zatopione zostały. A teraz chcą kawę do oświetlania używać!

Angielskie ustawy przeciw zbytkom. Oprócz podatków od domów, drzwi i okien, czyniących niekiedy bardzo znamienite sumy, które założycieli nowych domów do umieszczenia ile możności małéj liczby okien i drzwi zniewalają; płacą się jeszcze w Londynie do kasy miejskiéj następujące podatki od zbytków: Za psa do polowania 18 złp., za każdego innego psa 12 złp.; za powóz o dwóch kołach i jednym koniu, około 210 złp., za czterokołowy, przeszło 430 złp. Od wierzchowca płaci się 72 złp., w razie iż kto trzyma dwa wierzchowce, od każdego po 150 złp., ponieważ to o większym majątku świadczy. Od jednego służącego męzkiego 66 złp., od dwóch zaś, 168 złp. — stosownie do zasady, iż wraz z powiększeniem się majątku i podatki też powiększać się powinny. W tymże samym stosunku podlegają także wszystkie inne przedmioty zbytkowe mniejszéj lub większéj opłacie, tak iż każdy bogaty Anglik co roku znaczną sumką za nie opłacać się musi.

Starożytności egipskie. Listy z Egiptu donoszą o znacznie powiększonéj liczbie osób zwidzających obecnie Wyższy Egipt i Teby, jakoteż o nadzwyczajném ułatwieniu i uprzyjemnieniu téj podróży. Jakoż zważając tę ostatnią okoliczność, należy się istotnie dziwić, iż liczba ciekawych pielgrzymów do téj starożytnéj krainy, jeszcze o wiele wyżéj się nie podniosła. Statki nilowe mają być ze wszech miar bardzo dogodne i do podróży przyjemne. Inną okolicznością, która także podróżników do Egiptu zwabiać powinna, jest to, iż tych starożytności egipskich coraz widoczniéj ubywa. Tożsamo bowiem uczucie, które je przedmiotem czci i podziwu czyni, jest na nieszczęście oraz pobudką do ich znieważania i ubytku. Słychać powszechne skargi na niesłychanie szybkie pustoszenie wszystkich prawie pomników egipskich przez podróżnych, którzy mają szczególne zamiłowanie wywozić cząstkowe złomki, będące tu nad Nilem istotnie ważnémi zabytkami zamarłéj na wieki przeszłości, tajemniczémi znamionami nigdy już zupełnie nie odgadnionéj cywilizacyi, w naszéj Europie zaś niczém więcéj jak tylko zbiorkiem kamyków i farbowanych tabliczek. Pojmując całą nieocenioną historyczną i poetyczną wartość tych starożytnych ksiąg kamiennych, które podobnie jak księgi sybilińskie w témwiększą rosną cenę, im mniejszą staje się ich liczba, zabronił wicekról egipski wyraźném rozporządzeniem wywozu starożytności z kraju, lecz zakaz ten nie jest w stanie zapobiédz drobnostkowym uszkodzeniom jednego pomnika po drugim. Wieśniacy okoliczni wiedzą iż te starożytności są dla nich obfitym plonem, który zasiany przez ich przodków, teraz tylko zbioru wymaga, i chętnie przeto do tego dzieła zniszczenia dopomagają. Przeciw wandalizmowi i łupieztwu swoich własnych gubernatorów, którzy tych skarbnic starożytności za materyjał do nowomodnych budowli używają, może Mehmet Ali swoim zakazom należytéj nadać ważności, lecz owi drobni, podróżujący szkodnicy, są tak nieuchronną plagą, jak i sam czas, a może nawet zgubniejszą od niego. Te wszystkie okoliczności powinneby podróżników europejskich coraz liczniéj do Egiptu sprowadzać, chociaż sobie taić nie można, iż to samo powiększyłoby jeszcze bardziéj wspomnioną tu klęskę starożytności egipskich.

Pamiątka spisku. Aż do r. 1797 szły w Bazylei wszystkie zégary o godzinę wcześniéj niż we wszystkich innych miastach szwajcarskich. Miało się to zachować od czasów pewnego spisku, w którym kilku sprzysiężonych mieszczan bazylejskich chciało o północy wydać miasto nieprzyjaciołom, co jednak przezto zniweczoném zostało, iż rada miejska, dowiedziawszy się o knowanym zamachu, zegar na wieży od strony Renu o godzinę posunąć, i zamiast dwunaste; — pierwszą uderzyć kazała. Na tymże samym zégarze znajdowała się aż do roku 1838, potworna z kamienia ciosana głowa, która za pomocą poruszeń zégarowego wahadła ku leżącéj po tamtéj stronie Renu Małéj-Bazylei ciągle język wystawiała i szyderczo oczy trzeszczyła.

Bohaterskie kobiety. Pewien naoczny świadek zdobycia czerkieskiéj twierdzy Achulgo, opowiada: »Ze wszystkich krwawych obrazów, które dotąd mi przed oczyma stoją, jeden szczególnie na wieki w pamięci mi utkwił. Już pod koniec walki wdarłem się pod dowództwem walecznego kapitana Szulca, ze szczątkami mego batalijonu, na szczyt stroméj wyżyny. Tuż nad nami piętrzyła się ogromna skała, otoczona z boku bezdenną przepaścią, nad którą, na samym wierzchołku opoki, stało mnóstwo kobiét czerkieskich. Coraz bliższe nacieranie wojsk naszych, przekonywało je o rychłéj i nieuchronnéj zgubie;

lecz postanowiwszy nie poddać się nam żywcem, natężały one wszelkich sił swoich, aby nam jaknajwiększą klęskę zadść. Wpośród dymu strzałów, który im bliżej podstępowaliśmy, témbardziej się rozjaśniał, wydawały się nam one jak zawieszone w obłokach anioły zemsty, miotające na nas śmierć i zagładę. W zapale bitwy zrzuciły one były wierzchnią odzież, a ich długie, bujne włosy ulatywały w nieładzie około obnażonych kibici. Cztéry z nich toczyły z nadludzkiém natężeniem ogromną bryłę, i strąciły ją na nas. Bryła padła o jakich dziesięć kroków ode mnie i zgruchotała na miazgę kilku żołnierzy. Widziałem tam także kobiétę, która dotąd w milczeniu całéj scenie się przypatrywała, nagle zaś pochwyciwszy w ramiona dziécię swoje, które się było jéj sukni uczepiło, jednym zamachem głowę mu o skałę roztrzaskała, a potém z dzikim wrzaskiem w przepaść je cisnęła, i sama za niém skoczyła. W téjże chwili kilka innych kobiet poszło za jéj przykładem.

Ibrahim-basza w Londynie. Dzienniki angielskie donoszą następujące szczegóły o pobycie Ibrahima w Londynie: Przy zwidzaniu tunelu zapytał Ibrahim odbiéracza biletów, co ma być właściwie celem tunelu? — na co tenże zmieszany odpowiedział: »Aby ludzie przez Tamizę przechodzić mogli.« — »*Maszallah!* (Do licha!)« ozwał się Ibrahim do swego tłumacza, »zapytaj dżaura, czyż nie mają na to dość jeszcze mostów i okrętów?« — Najbardziéj zaś niezadowolonym okazał się Ibrahim z banku angielskiego. Gubernator, chcąc objaśnić jego wysokości co znaczą papiérowe pieniądze, dał mu zwitek banknotów w rękę, i rzekł, iż te papiérki mają wartość milijona funtów szterl. Jego wysokość uśmiéchnął się na to bardzo słodko i chciał już te banknoty do swoich fałdzistych szarawarów schować, lecz przestraszony gubernator, szybko je z ręki mu wyjął, i dawszy głową znak zaprzeczenia, starannie je znowuż do szuflady zamknął. Z wielką trudnością wyjaśnił tłumacz Ibrahimowi, iż gubernator chciał mu te pieniądze tylko pokazać, a nie darować; Ibrahim zaś był tego mniemania, że te 40 milijonów szp. były dla niego *bakszisz*'em — darem gościnnym, i odszedł rozgniewany, mówiąc: »Byłto żart wcale nieprzyzwoity.«

Ptaszek pokazujący skarby. Angielski podróżnik Dapper w swoim »Opisie Afryki« wspomina o szczególniejszym ptaszku, którego ojczyzną jest Nubia, a powierzchowność podobna do skowronka. Obaczywszy w przelocie coś błyszczącego, leci on natychmiast do najbliżéj znajdującego się człowieka, oblatuje go wokoło, ćwiérkając nieustannie, i nie odstępuje dopóty, aż póki za nim nie pójdzie. Zaprowadziwszy zaś człowieka na miejsce, gdzie ów błyszczący przedmiot leży, siada ptaszek na drzewo i zaczyna śpiéwać; natenczas potrzeba tylko szukać, a pewno człowiek coś znajdzie.

Powaby i niebezpieczeństwa kwiatów. Piękne równianki i girlandy, które na balach podziwiamy, mogą się stać bardzo niebezpiecznemi. Mniejsza oto, iż w nie jaki liścik miłośny z łatwością da się ukryć; to gorsza, że te kwiaty, zdjęte i pozostawione w sypialni, zatruwają powietrze. Ostatnich zapust wróciła pewna dama zdrowo i wesoło z balu, a nazajutrz zastano ją w łóżku nieżywą; przywołani lekarze oświadczyli, iż ta nagła śmierć nie może być skutkiem niczego innego, jak tylko zatrutego powietrza zapachem lilijów, pozostałych przez całą noc w sypialni. Równie też róże, jaśmin, i wiele innych kwiatów, mogą wywrzeć szkodliwy, aczkolwiek nie koniecznie zabójczy skutek. Pewna młoda dama, mająca bardzo tkliwe nerwy, opowiadała raz w towarzystwie, iż nie może znieść w żaden sposób róż zapachu, który natychmiast zawrót głowy jéj sprawia. Wtém nadeszła przyjaciółka w stroju balowym, z wieńcem róż około głowy. Dama słabych nerwów pobladła w oka mgnieniu i padła omdlała na sofę. Powiedziano więc przyjaciółce, iż jéj róże są przyczyną tego wypadku; ta uśmiéchnąwszy się nato, zdjęła wieniec z głowy i pokazała go obecnym — byłyto kwiaty robione. Omdlenie więc owéj damy pochodziło jedynie z uprzedzenia.

Towarzystwo ku ulepszeniu chowu ostryg. Teraz kiedy za najlepszy chów jedwabników, koni, bydła, publiczne nagrody są wyznaczone, zawiązało się także towarzystwo, mające na celu utworzenie nowéj wcale nauki, to jest nauki należytego hodowania, rozmnażania i zjadania ostryg. Towarzystwo to zostanie podobnie jak wszystkie towarzystwa składkowe uorganizowanem, a ostrygi będą odtąd miały swój wydział nadzorczy, swego dyrektora, adwokata i bankiera. Co więcéj! wspomnione stowarzyszenie zajmie się wydawaniem własnego czasopisma pod nazwą: »Przyjaciel smacznego jadła w stosunku do świata ostrygowego.«

Dawniejsze śpiéwaczki nie miały nawet wyobrażenia o świetnym stanie, w jakim ich dzisiejsze koleżanki żyć nawykły; podczas gdy tegoczesne śpiéwaczki dworno i świetnie podróżują, one jadały skromnie wraz z innymi podróżnymi przy powszednim stole gościnnym. Jednego razu gdy sławna śpiéwaczka Bethmann tymże sposobem obiad jadła, wniesiono jakiś zakryty półmisek. »To dla pani» — ozwał się gospodarz do śpiéwaczki. — »Dla mnie?» — zawołała zdziwiona artystka — »Wszakżeto nic osobno nie zamówiłam.» — To mówiąc podniosła pokrywkę i ujrzała kilkanaście zgrabnie zwiniętych bilecików, właśnie tyle, ile gości było u stołu. Wszystkie te bilety zawierały — oświadczenia miłosne. Byłoto zwyczajem owych czasów. »Przytrudny nieco wybór» — odrzekła artystka z uśmiéchem — »lecz na bilety odpowiém biletami, a przecież ręczę, że nikomu przezto do zazdrości powodu niedam» — i złożywszy na talérzu pewną ilość biletów na swój benefis, który właśnie tegoż wieczora miał się odbyć, kazała kelnerowi roznieść je pomiędzy grzecznych spółbiesiadników.

Początek francuzkiego przysłowia »Jedząc, przychodzi nam pochętka do jedzenia (*L'appetit vient en mangeant*)«. Amiot, nauczyciel księcia Andegaweńskiego, zapewniał swego wychowańca, iż nie czuje wcale żądzy dostojeństw, i byłby zupełnie szczęśliwym, gdyby miał małe probostwo, gdzieby przy swoich skromnych życzeniach i potrzebach spokojnie mógł wieść życie. Gdy jego uczeń królem został, otrzymał Amiot bogate opactwo, które tak mu się bardzo podobało, iż wkrótce o opróżnione biskupstwo aukserskie z prośbą się zgłosił. Przy téj sposobności przypomniał mu król skromne jego życzenia. »*Sire*,« odpowiedział Amiot, »dopiéro jedząc, nabiéra się ochoty do jedzenia.« — Te słowa tak się królowi podobały, iż cały dwór je jako wytrysk wielkiego dowcipu pochwalił; a tak, ten błahy pomysł przeszedł w europejskie przysłowie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.